

Henryk Sienkiewicz

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

Światło lampy, chociaż przyćmione, budziło mnie i nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia pracującego jeszcze. Mała i wątła jego postać, przybrana tylko w bieliznę, schylona była nad książką, a w ciszy nocnej senny i zmęczony głos powtarzał mechanicznie koniugacje łacińskie lub greckie z tą jednostajnością, z jaką w kościele powtarzają słowa litanii. Gdym zawołał na niego, by szedł spać, chłopiec odpowiadał mi: „Nie umiem jeszcze lekcji, panie Wawrzynkiewicz”. Odrabiałem z nim przecie zadania od czwartej do ósmej, a potem od dziewiątej do dwunastej i sam nie szedłem do łóżka, nimem się nie przekonał, że umie wszystko; ale doprawdy tego wszystkiego było za dużo. Skończywszy ostatnią lekcję, chłopiec zapominał pierwszej, a koniugacje greckie, łacińskie, niemieckie i nazwy rozmaitych powiatów wprowadzały biedną jego głowę w taki zamęt, że spać nie mógł. Wyłaził wtedy spod kołdry, zapalał lampę i zasiadał na nowo do stolika. Gdym go łajał — prosił się i płakał. Potem tak już przyzwyczałem się do tych nocnych siedzeń, do blasku lampki i do mruczenia koniugacji, że kiedy mi ich brakło, sam spać nie mogłem. Może powinienem był nie pozwolić, by dziecko męczyło się nad siły, ale cóżem miał robić? Musiał przecie wyuczyć się co dzień choć jako tako lekcji, bo inaczej usunięto by go ze szkół, a Bóg jeden wie, co by to był za cios dla pani Marii, która po śmierci męża zostawszy z dwojgiem sierot, wszystkie nadzieje złożyła w Michasiu. Położenie było prawie bez wyjścia, bom z drugiej strony widział, że nadmierne wysilenia umysłowe podkopują zdrowie chłopca i mogą życiu jego zagrozić. Trzeba było przynajmniej wzmacniać go fizycznie, gimnastykować, kazać mu dużo chodzić lub jeździć konno, ale nie było czasu na to. Dziecko tyle miało do roboty, tyle do wyuczenia się na pamięć, tyle do napisania co dzień, że z ręką na sumieniu powiadam: nie było czasu. Każdą chwilę potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca, zabierała łacina, grecki i... niemiecki. Rankiem, gdym mu pakował książki do tornistra i gdym widział, jak chude jego ramiona gięły się pod ciężarem tych bizantyjskich tomów, serce mi się po prostu ścisnęło. Czasem prosiłem dla niego o wyrozumienie i względność, ale niemieccy profesorowie odpowiadali mi tylko, że dziecko psuję i rozpieszczęm, że Michaś widocznie nie dość pracuje, że ma polski akcent i że beczy z łada powodu. Chory sam jestem na piersi, samotny i zgryźliwy, więc te wymówki niejedną mi chwilę zatruły. Ja najlepiej wiedziałem, czy Michaś nie dość pracuje! Było to dziecko średnich zdolności, ale tak wytrwałe i przy całej słodczy, taką obdarzone siłą charakteru, jakiej nie zdarzyło mi się spotkać w żadnym innym chłopcu. Biedny Michaś namiętnie i ślepo był przywiązany do matki, że zaś mu powiedziano, iż matka bardzo jest nieszczęśliwa, chora i że gdy on będzie jeszcze się źle uczył, to może

ją dobić — więc chłopak drżał przed tą myślą i całymi nocami siadywał nad książką, byle tylko matki nie zmartwić. Wybuchał płaczem, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie przychodziło do głowy, dlaczego płakał, do jakiej strasznej poczuwał się w takich chwilach odpowiedzialności. Ba! co komu było do tego? Miał polski akcent i kwita! Ja go nie psułem ani rozpieszczałem, tylko go rozumiał lepiej od innych; żem zaś zamiast łajać go za niepowodzenia, starał się pocieszać, to już moja rzecz. Sam napracowałem się w życiu niemało, nacierpiałem się głodu i biedy, nie byłem szczęśliwy, nie będę szczęśliwy i — niech tam diabli wezmą! nawet już i zębów nie ściskam, gdy o tym myślę; nie wierzę, żeby było warto żyć, ale może dlatego właśnie mam prawdziwe współczucie dla każdej biedy.

Ja przynajmniej w wieku Michasia, gdym latał za gołębiami po ulicach lub grywał w pliszki pod ratuszem, miałem swoje czasy zdrowia i wesołości. Kaszel mnie nie męczył; gdym w skórę brał, tom płakał, póki bili; zresztą byłem swobodny jak ptak i nie dbałem o nic. Michaś i tego nawet nie miał. Życie byłoby i jego położyło na kowadło i biło młotem; tyle by więc wygrał, ile by jako malec naśmiał się serdecznie z tego, co dzieci bawi, napłatał figlów i wylatał się na otwartym powietrzu w promieniach słońca. Ale takiej zgody pracy z dzieciństwem nie miałem przed oczyma. Przeciwnie: widziałem dziecko idące do szkoły i wracające z niej chmurne, zgarbione pod ciężarem książek, wysilone, ze zmarszczkami w kątach oczu, tłumiące ustawicznie jakoby wybuch płaczu — więcem mu współczuł i chciałem być dla niego ucieczką.

Jestem sam nauczycielem, jakkolwiek prywatnym, i nie wiem, co bym robił na świecie, gdybym jeszcze stracił wiarę w wartość nauki i pożytek, jaki z niej płynie. Myślę tylko po prostu, że nauka nie powinna być tragedią dla dzieci, że łacina nie może zastąpić powietrza i zdrowia, a dobry lub zły akcent nie powinien stanowić o losie i życiu maleńkich istot.

Myślę także, że pedagogia lepiej spełnia swe zadanie, gdy dziecko czuje rękę prowadzącą je łagodnie, nie zaś nogę, przygniatającą mu piersi i depcącą wszystko, co go nauczono czcić i kochać w domu... Taki ze mnie obskurant, że pewno już zdania w tym względzie nie zmienię, bo utwierdzam się w nim coraz bardziej, gdy sobie wspominam mojego Michasia, któregom kochał tak szczerze. Od sześciu lat byłem jego nauczycielem, pierwaj jako guwerner, potem, gdy wszedł do drugiej klasy, jako korepetytor, miałem więc czas przywiązać się do niego. Zresztą, czemu bym miał ukrywać przed samym sobą: był mi drogim, bo był synem droższej dla mnie nad wszystko istoty... Nigdy ona nie wiedziała o tym i nigdy wiedzieć nie będzie. Pamiętam,

że ja jestem... ot sobie — pan Wawrzyńkiewicz, prywatny nauczyciel, a do tego człowiek chory, ona zaś córka zamożnego domu szlacheckiego, po prostu pani, na którą bym nie śmiał oczu podnieść. Ale że samotne serce, miotane życiem, musi w końcu przyczepić się do czegoś, jak przyczepia się muszla miotana falą — więc moje przywarło do niej. Co ja na to poradzę? a wreszcie co jej to szkodzi? Nie chcę od niej więcej światła niż od słońca, które wiosną ogrzewa moje chore piersi. Od sześciu lat byłem w jej domu, byłem przy śmierci jej męża, widziałem ją nieszczęśliwą, samą, a zawsze dobrą jak anioł, kochającą dzieci, świętą prawie w swym wdowieństwie, więc... musiało do tego przyjść. Ale to nie miłość we mnie, to prędzej moja religia.

Michaś bardzo przypominał matkę. Nieraz, gdy podnosił na mnie oczy, zdawało mi się, że patrzę na nią. Były to też same delikatne rysy, toż samo czoło z cieniem padającym od bujnych włosów, ten sam łagodny zarys brwi, a szczególnie głos prawie jednakowy. W usposobieniu matki i dziecka była także wspólność, objawiająca się w pewnej skłonności do egzaltacji uczuć i poglądów. Należeli oboje do tego rodzaju istot nerwowych, wrażliwych, szlachetnych i kochających, które zdolne są do największych poświęceń, ale które w życiu i zetknięciu się z jego rzeczywistością mało znajdują szczęścia, dając naprzód więcej, niż mogą otrzymać. Ten rodzaj ludzi ginie też teraz i myślę, że jakiś dzisiejszy naturalista mógłby powiedzieć o nich, że z góry są na śmierć skazani, bo przychodzą na świat z wadą serca — za dużo kochają.

Rodzina Michasia była kiedyś bardzo zamożna, ale — za dużo kochali... więc rozmaite burze rozwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest nawet ubóstwem, jednakże w porównaniu do dawnych czasów — miernością. Michaś był ostatnim z rodziny; toteż pani Maria kochała go nie tylko jak własne dziecko, ale zarazem jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z zaślepieniem zwykłym matkom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec wprawdzie istotnie nie był tępy, ale należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznymi i zdrowiem. W innych warunkach mógłby był skończyć szkoły i uniwersytet i stać się pożytecznym pracownikiem na każdym polu. W tych, jakie istniały, męczył się tylko i wiedząc o wysokim wyobrażeniu, jakie matka miała o jego zdolnościach, wysiłał na próżno.

Wiele na świecie widziały oczy moje i postanowiłem się nie dziwić niczemu, ale wyznaję, że z trudnością uwierzyłem, by mógł istnieć taki zamęt, w którym by dziecku na złe wyszła wytrwałość, siła charakteru i praca. Jest coś w tym niezdrowego i gdyby

mi słowa mogły zapłacić za żal i gorycz, to doprawdy powiedziałbym razem z Hamletem, że dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom...

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja własna przyszłość zależała. Bo też obaj z moim droгим chłopcem mieliśmy jeden cel, a to: nie zmartwić jej, pokazać dobrą cenzurę, wywołać uśmiech szczęścia na jej usta.

Gdy mu się udało dostać dobry stopień, malec przychodził z klasy rozpromieniony i szczęśliwy. Zdawało mi się, że w takich razach urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą, dziecinną wesołością i świeciły jak dwa węgielki. Zrzucał natychmiast ze swoich wąskich pleców tornister przeładowany książkami i mrugając na mnie, mówił jeszcze w progu:

— Panie Wawrzynkiewicz, mama będzie kontenta! Dostałem dziś z geografii... niech pan zgadnie ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał do mnie z pyszną minką i zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

— Piątkę! naprawdę piątkę!

Były to dla nas obojdwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni Michaś rozmarzał się i wyobrażając sobie, co to będzie, jeśli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył na wpół do mnie, na wpół do siebie samego:

— Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina: śnieg będzie padał — zwyczajnie jak w zimie — więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale o! mama będzie na mnie czekała, uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama czyta: „z religii: celujący; z niemieckiego: celujący; z łaciny: celujący... same celujące”! O, panie Wawrzynkiewicz!

I biednemu chłopcu łzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymywać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypominałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę wyższą, szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującymi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Michasiowi nauki, tłumacząc mu, że mamie chodzi bardzo o jego naukę, ale także o zdrowie, że więc nie powinien płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każe, i nie upierać się przy nocnym siedzeniu. Rozrzuwniony malec ścisnął mnie za szyję i powtarzał:

— Dobrze, mój złoty panie, będę zdrow, że aż strach, i stanę się taki duży, że ani mama, ani mała Lola mnie nie poznają.

Odbierałem też często listy od pani Marii, polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą przekonywałem się co dzień, że pogodzić naukę ze zdrowiem było prawie niepodobieństwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził, cofnąwszy Michasia z klasy drugiej do pierwszej; ale on te przedmioty, jakkolwiek jałowe, doskonale pojmował; nie o naukę więc chodziło, tylko o czas i ten nieszczęsny niemiecki język, którym dziecko nie władało dostatecznie. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że gdy święta nadejdą, odpoczynek wypełni te szczyby w zdrowiu chłopca, które czyniła nadmierna praca.

Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszym, mniej bym się troszczył o niego; ale on prawie żywiej jeszcze odczuwał każde niepowodzenie niż pomyślność. Chwile radości i owych piątek, o których wspomniałem, rzadkie były na nieszczęście.

Tak nauczyłem się czytać w jego twarzy, że skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie powiodło.

— Dostałeś zły stopień? — pytałem.

— Tak jest!

— Nie umiałeś?

Czasem odpowiadał:

— Nie umiałem.

Częściej jednak:

— Umiałem, ale nie mogłem powiedzieć.

Jakoż mały Owicki, prymus z klasy drugiej, którego naumyślnie sprowadziłem, aby się Michaś z nim uczył, mówił, że Michaś głównie dlatego dostaje złe stopnie, że się nie umie... wyjęzyczyć.

W miarę jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone umysłowo i fizycznie, takie niepowodzenia powtarzały się częściej. Zauważyłem, że gdy wypłakawszy się, siadał następnie do lekcji, cichy bywał i niby spokojny, ale w tej zdwojonej energii, z jaką zabierał się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Czasem też szedł w kąt, ścisnął głowę obu rękoma i milczał: egzaltowany chłopiec wyobrażał sobie, że kopie grób pod nogami ukochanej matki, a nie wiedział, jak zaradzić temu, i czuł się po prostu w kole błędnym, z którego nie było wyjścia.

Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, po ciemku, wynosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Zanim go na tym złapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nieopalanymi ścianami. Nie miałem innej rady, jak wstać, zawołać go do pokoju

i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcje, by go przekonać, że je umiał i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on już sam w końcu nie wiedział, co umiał, czego nie umiał. Dziecko traciło siły, chudło, żółkło i zasępiało się coraz bardziej. Czasem trafiało się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca wyczerpywała jego siły. Raz, gdym wykladał mu historię, którą „Stryj synowcom opowiedział”, co na żądanie pani Marii robiłem codziennie, Michaś zerwał się z zaiskrzonymi oczyma, ja zaś przestraszyłem się prawie, ujrawszy badawczy i surowy wyraz jego twarzy, z jakim zawołał:

— Panie, więc to naprawdę nie bajka? bo...

— Bo co, Michasiu? — pytałem ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi zacisnął zęby, a w końcu wybuchnął płaczem tak namiętnym, że długo nie mogłem go uspokoić.

Badalem Owickiego o przyczynę tego wybuchu; nie umiał lub nie chciał powiedzieć; domyśliłem się jednak sam. Nie było żadnej wątpliwości, że polskiemu dziecku trafiało się słyszeć w niemieckiej szkole wiele rzeczy, które raniły jego najgłębsze uczucia i które były wprost zaprzeczeniem albo pogardą i wydrwiwaniem z kraju, języka, ojczystych tradycji, słowem — ze wszystkiego, co w domu nauczano je czcić i kochać. Zdania takie ześlizgiwały się po innych chłopcach, nie zostawiając nic prócz głębokiej nienawiści do nauczycieli i całej ich rasy; ale chłopczyzna tak uczciwy jak Michaś odczuwał je boleśniej; nie śmiał zaprzeczyć, choć może nieraz miał ochotę krzyczeć z bólu, ale burzył się, zacinał zęby, gryzł i martwił. I tak do zmartwień, którymi karmiły go niepowodzenia i złe stopnie, przyrzuciła nieopisanej goryczy rozterka moralna, w jakiej żył ciągle. Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, szarpały Michasia w dwie przeciwne strony. Co jedna powaga nazywała białym, cnym, ukochanym, druga naznaczała piętnem strupieszenia i śmieszności; co jedna zwała cnotą, druga występkiem. Więc w tym rozdwojeniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało mu się serce, ale musiał udawać, że słucha i bierze do serca słowa przeciwne; musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dni, tygodnie, miesiące... Co za położenie... dziecka!

Dziwny był los Michasia. Dramaty życiowe zaczynają się zwykle później, gdy pierwsze liście spadają z drzewa młodości; dla niego wszystko to, co składa się na nieszczęście: przymus moralny, tajona zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z trudnościami, stopniowa utrata nadziei, wszystko to poczęło się w jedenastym roku życia. Ani jego wątła postać, ani wątłe siły nie były w stanie sprostać

temu ciężarowi. Upływały dni, tygodnie; biedak podwajał wysilenia, a skutek coraz był mniejszy, coraz bardziej opłakany. Listy pani Marii, jakkolwiek słodkie, przyrzucały jeszcze wagi do brzemia.

„Bóg Cię obdarzył, Michasiu, niezwykłymi zdolnościami — pisała matka — ufam więc, że nie zawiedziesz nadziei, jakie w tobie złożyłam, i że staniesz się krajowi i mnie pociechą”.

Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za rękę spazmatycznie i zanosząc się od płaczu, zaczął powtarzać:

— Co ja poradzę, panie Wawrzynekiewicz, co ja mogę poradzić?

Istotnie, cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczyć?

Nadeszły czasy rekreacji na Wszystkich Świętych; cenzura kwartalna wcale była nieszczególna: z trzech najważniejszych przedmiotów miał mierne. Na jego najsilniejsze prośby i zakłęcia nie posłałem jej pani Marii.

— Drogi panie! — wołał złożywszy ręce. — Mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Pan Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko łudziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a co prawda, łudziłem się i ja. Sądziłem, że wdroży się w rutynę szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język i nabierze akcentu, a przede wszystkim że coraz mniej czasu będzie potrzebował do nauki. Gdyby nie to, dawno bym był pisał do pani Marii i przedstawił jej stan rzeczy. Jakoż nadzieje zdawały się nie być próżne. Zaraz po Wszystkich Świętych Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów w klasie sam tylko wiedział, że od gaudeo czas przeszedł jest gavisus sum, a wiedział dlatego, że dostawszy poprzednio dwa celujące, pytał się mnie, jak po łacinie: „cieszę się”. Myślałem, że chłopak zwariuje ze szczęścia. Napisał do matki list zaczynający się od słów:

„Mamusi najdroższa! Czy ukochana moja wie, jak jest perfectum od gaudeo? pewno nie wie ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie ja tylko jeden wiedziałem”.

Michaś po prostu ubóstwiał matkę. Od tego czasu co chwila wypytywał mnie o różne perfecta i participia. Utrzymać te celujące stało się teraz zadaniem jego życia. Ale to był krótki blask szczęścia. Wkrótce fatalny akcent polski zburzył to, co wybudowała usilność, a nadmierna ilość przedmiotów nie pozwalała dziecku poświęcać każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysiłona pamięć. Wypadek przyczynił się jeszcze do powiększenia niepowodzeń. I Michaś, i Owicki zapomnieli mi powiedzieć o jednym

zadaniu piśmiennym i nie odrobili go. Owickiemu to uszło, bo jako prymusa nawet nie spytano o nie, ale Michaś dostał publiczną naganę w szkole wraz z zagrożeniem, że zostanie usunięty.

Przypuszczano oczywiście, że utaił umyślnie przede mną zadanie, by go nie odrobić, a chłopiec, który był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, nie miał sposobu przekonania o swej niewinności. Mógł wprawdzie powiedzieć w swojej obronie, że i Owicki zapomniał na równi z nim, ale na to nie pozwalał honor szkolny. Na moje zaręczenia Niemcy odpowiedzieli uwagą, że zachęcam chłopca do lenistwa. Kosztowało mnie to niemało zmartwienia, ale więcej jeszcze niepokoju przyczynił mi widok Michasia. Wieczorem dnia tego widziałem go, jak ścisnąwszy głowę obu rękoma, szeptał, myśląc, że go nie słyszę: „Boli! Boli! Boli!”. List od matki, który nadszedł nazajutrz rano i w którym pani Maria obsypywała Michasia pieszczotami za owo celujące, był nowym dla niego ciosem.

— O, sprawię mamie ładną pociechę! — wołał, zakrywając twarz dłońmi.

Następnego dnia, gdym mu zarzucił na plecy tornister z książkami, zatoczył się i mało nie upadł. Chciałem mu nie pozwolić iść do szkoły, ale mówił, że mu nic nie jest; prosił tylko, by go odprowadzić, bo się boi zawrotu głowy. Wrócił w południe z nowym miernym. Dostał go za lekcję, którą umiał doskonale, ale wedle tego, co mówił Owicki, załękł się i nie mógł słowa przemówić. Utwierdziła się o nim stanowcza opinia, że był to chłopiec przesiąknięty „wstecznymi zasadami i instynktami”, tępý i leniwy.

Z dwoma ostatnimi zarzutami, o których wiedział, walczył, jak tonący z falą — rozpaczliwie, ale na próżno.

W końcu stracił wszelką wiarę w siebie, wszelką ufność we własne siły; doszedł do przekonania, że wysiłki i praca nadaremna, że on nigdy nie nabierze akcentu i musi się źle uczyć, a jednocześnie przedstawiał sobie, co na to powie matka, jaki to będzie dla niej ból, jak to może podkopać jej wątłe zdrowie.

Ksiądz z Zalesina, który czasem pisywał do niego, człowiek bardzo przychylny, ale nieogłębny, każdy list kończył słowami: „Michaś tedy niech pamięta, że nie tylko radość, ale i zdrowie matki zależy od jego postępów w nauce i moralności”. Pamiętał, pamiętał aż zanadto, bo nawet we śnie powtarzał żalonym głosem: „Mamo! Mamo” — jakby jej błagał o przebaczenie.

Ale na jawie dostawał coraz gorsze stopnie. Tymczasem Boże Narodzenie zbliżało się szybko i co do cenzury nie można się było już łudzić. Napisałem do pani Marii, chcąc ją o tym uprzedzić. Powiedziałem otwarcie i stanowczo, że dziecko jest słabowite a

przeciążone, że mimo największej pracy nie może sobie dać rady i że prawdopodobnie od świąt trzeba je będzie odebrać ze szkół, trzymać na wsi i przede wszystkim wzmacniać jego zdrowie. Lubo z odpowiedzi uczulem, że jej miłość własna macierzyńska została cokolwiek zraniona, jednakże odpisała jak rozumna kobieta i kochająca matka. Nie mówiłem Michasiowi nic o tym liście i zamiarach odebrania go ze szkół, bom lękał się dla niego każdego silniejszego wzruszenia; wspomniałem tylko, że cokolwiek wypadnie, matka wie, że pracuje, i potrafi jego niepowodzenia wyrozumieć. Sprawilo mu to widoczną ulgę, bo się wypłakał długo i serdecznie, co mu się od pewnego czasu już nie zdarzało. Płacząc, powtarzał: „Ile ja mamie sprawiam zmartwienia!”. Jednakże na myśl, że wkrótce pojedzie na wieś, że zobaczy matkę i małą Lolę, i Zalesin, i księdza Maszyńskiego, uśmiechał się przez łzy. Mnie także było pilno do Zalesina, bom już prawie nie mógł patrzeć na stan dziecka. Tam czekało na niego serce matki i życzliwość ludzka, i cisza, i uspokojenie. Tam nauka miała dla niego twarz swojską, życzliwą, nie obcą i odpychającą; tam cała atmosfera była swojska i czysta, którą dziecinne piersi mogły oddychać.

Wyglądałem więc dla niego świąt jak zbawienia i liczyłem na palcach chwile, które nas od nich przedzielały, a które Michasiowi coraz nowe przynosiły zgryzoty. Zdawało się, iż wszystko przeciw niemu się sprzysięga. Dla „tym większej” wprawy w język wykładowy, dzieci miały polecenie nie używać nigdy innego między sobą. Michaś raz zapomniał się i dostał, jako demoralizujący innych, znów publiczną naganę. Było to już przed samymi świętami, więc tym więcej miało znaczenia. Jak wypadek ten odczuł dzieciak ambitny i wrażliwy — nie podejmuję się opisać: co za chaos musiał wytworzyć się w jego umyśle! Rwało się wszystko w tej dziecinnej piersi i przed oczyma widział zamiast światła — ciemność. Giął się też jak kłós pod wiatrem. W końcu twarz tego jedenastoletniego dziecka przybrała wyraz po prostu tragiczny; wyglądał tak, jakby go za gardło dusił ustawicznie płacz i jakby gwałtem wstrzymywał szlochanie; chwilami oczy jego patrzyły jak oczy cierpiącego ptaka; potem opanowało go dziwne zamyślenie i senność; ruchy jego zrobiły się jakby bezwiedne, a głos dziwnie powolny. Stał się niezwykle cichy, spokojny i mechanicznie posłuszny. Gdym mu mówił, że czas na przechadzkę, nie opierał się, jak dawniej, ale brał czapkę i siedł za mną w milczeniu. Byłbym nawet kontent, gdyby to było zobojętnienie, alem widział, że pod jego pozorem kryła się wyegzaltowana, bolesna rezygnacja. Siadywał przy lekcjach, odrabiał zadania jak i dawniej, ale więcej niż z przyzwyczajenia. Znać było, że powtarzając mechanicznie koniugacje, myślał o czym innym albo raczej nie myślał o niczym. Raz, gdym się go

spytał, czy już skończył wszystko, odpowiedział mi swoim powolnym głosem i jakby sennie: „Ja myślę, panie, że to się na nic nie zdało”. Bałem się wspomnieć nawet przy nim o matce, by nie przepelniać tego kielicha goryczy, z którego piły jego dziecinne wargi.

Coraz więcej także niepokoiłem się o jego zdrowie, bo mizerniał ciągle i w końcu stał się prawie przezroczysty. Siatka delikatnych żyłek, która dawniej ukazywała mu się na skroniach, gdy się ożywił bardzo, uwidoczniła się teraz stale. Wypiękniał tak, że zrobił się prawie podobny do jakiegoś obrazu. Żal było patrzeć na tę główkę dziecinną, na wpół anielską, która sprawiała wrażenie wędnącego kwiatu. Na pozór niby nic mu nie było, ale niknął i tracił siły. Nie mógł już udźwignąć wszystkich książek w tornistrze, więc wkładałem mu tylko niektóre, resztę zaś nosiłem, bom teraz codziennie prowadził go i odprowadzał ze szkoły.

Święta wreszcie nadeszły. Konie z Zalesina czekały od dwóch dni, a list pani Marii, który przyszedł wraz z nimi, zapowiadał, iż nas tam wszyscy wyglądają z niecierpliwością. „Słyszałam, że ci, Michasiu, ciężko idzie — kończyła pani Maria — nie spodziewam się już celujących, chciałabym tylko, by i nauczyciele twoi myśleli tak jak ja, że uczyniłeś wszystko, co było w twojej mocy i że dobrym sprawowaniem starałeś się wynagrodzić niedostateczne postępy”.

Ale nauczyciele myśleli inaczej pod każdym względem, więc cenzura zawiodła i to oczekiwanie. Ostatnia publiczna nagana tyczyła się wprost sprawowania chłopca, o którym pani Maria miała także odmienne pojęcie. W opinii niemieckich profesorów to tylko dziecko dobrze się sprawiało, które płaciło śmiechem za ich drwiny z „polskiego zacofania”, języka i tradycji. Skutkiem takich pojęć etycznych Michaś, jako nie dający widoków, by mógł na przyszłość słuchać z korzyścią wykładów, a zabierający na próżno miejsce innym, został usunięty ze szkoły. Przyniósł ten wyrok wieczorem. W mieszkaniu było już prawie ciemno, bo śnieg obfity padał na dworze, więcem nie mógł dojrzeć twarzy dziecka. Widziałem tylko, że podszedł do okna, stanął w nim i bezmyślnie, w milczeniu patrzył na płatki śnieżne, kręcące się w powietrzu. Nie zazdrościłem biedactwu myśli, które na kształt tych płatków musiały mu tam kręcić się po głowie, ale wolałem z nim nie mówić o cenzurze i wyroku. W ten sposób upłynął nam kwadrans w przykrym milczeniu, a tymczasem ściemniło się prawie zupełnie. Zabrałem się do układania rzeczy w kuferek, widząc zaś, że Michaś stoi ciągle przy oknie, rzekłem wreszcie:

— Co tam robisz, Michasiu?

— Prawda — odparł głosem, który dygotał i zatrzymywał się na każdej sylabie — że mama siedzi teraz z Lolą w zielonym gabinecie przed ogniem i myśli o mnie?

— Być może. Cemu ci tak głos drży? czyś nie chory?

— Nic mi nie jest, panie, tylko mi bardzo zimno.

Rozebrałem go i położyłem natychmiast do łóżka, a rozbierając patrzyłem z litością na jego wychudzone kolana i ręce tak cienkie jak żdźbła trzciny. Kazałem mu napić się herbaty i okryłem, czym było można.

— Ciepłej ci teraz?

— O, tak! Głowa mnie trochę boli.

Biedna głowa, miała od czego rozboleć. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce i oddychało pracowicie przez sen swymi wąskimi piersiami, ja zaś skończyłem pakować jego i swoje rzeczy; potem, że także czułem się niezdrów, położyłem się zaraz. Zdmuchnąwszy świecę, usnąłem prawie w tej samej chwili.

Koło trzeciej po północy obudziło mnie światło i jednostajne, dobrze mi znane mruczenie. Otworzyłem oczy i serce mi zabiło niespokojnie. Na stole paliła się lampa, przed stolikiem zaś nad książką siedział Michaś w jednej koszuli: policzki jego pały, oczy były przymknięte, jakby dla lepszego natężenia pamięci, głowa trochę w tył pochylona, senny zaś głos powtarzał:

— Coniunctivus: Amem, ames, amet, amemus, ametis...

— Michasiu!

— Coniunctivus: Amem, ames...

Szarpnąłem go za ramię:

— Michasiu!

Rozbudził się i począł mrugać oczyma ze zdziwieniem, patrząc na mnie, jakby mnie nie poznał.

— Co ty robisz? Co tobie, dziecko?

— Panie — odrzekł, uśmiechając się — powtarzam wszystko od początku; muszę jutro dostać celujący...

Porwałem go na ręce i zaniósłem do łóżka; ciało jego parzyło mnie jak ogniem. Na szczęście doktor mieszkał w tym samym domu, sprowadziłem go więc natychmiast. Nie potrzebował się długo namyślać. Chwilę potrzywał puls dziecka, potem rękę położył mu na czole: Michaś miał zapalenie mózgu.

Ach! wiele rzeczy nie mogło mu się widocznie w głowie pomieścić.

Choroba przybrała szybko zatrważające rozmiary. Posłałem depeszę do pani Marii i na drugi dzień dzwonek targnięty gwałtownie w przedpokoju zwiastował mi jej przybycie. Jakoż, otworzywszy drzwi, ujrzałem ją bladą, pod czarnym kwefem, jak płótno; palce jej z niezwykłą siłą wsparły się na moim ramieniu i cała dusza wybiegła do oczu utkwionych we mnie, gdy spytała krótko:

— Żyje?

— Tak. Doktor mówił, że jest lepiej.

Odrzuciła woal, na którym osiadł szron oddechu, i wbiegła do pokoju dziecka. Kłamałem. Michaś żył wprawdzie, ale nie było mu lepiej. Nie poznał nawet matki, gdy siadła przy nim i wzięła go za ręce. Dopiero gdym mu na głowie położył świeży lód, począł mrużyć powieki i usilnie wpatrywać się w schyloną nad nim twarz. Myśl jego natężała się widocznie, walcząc z gorączką i obłędem, usta drgały, uśmiechnął się raz i drugi, a w końcu wargi jego wyszeptwały:

— Mama!...

Ona chwyciła go za obie ręce i przesiedziała tak przy nim kilka godzin, nie zrzuciwszy nawet podróznego ubrania. Dopiero gdym zwrócił na to jej uwagę, rzekła:

— Prawda. Zapomniałam zdjąć kapelusz.

Gdy go zdjęła, serce ścisnęło mi się dziwnym uczuciem: oto między blond włosami, zdobiącymi tę młodą, piękną głowę, świeciły gęsto srebrne nitki. Trzy dni temu może ich tam nie było jeszcze.

Zmieniała teraz sama okłady chłopcu i podawała lekarstwo. Michaś wodził za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, ale znowu jej nie poznawał. Wieczorem gorączka zwiększyła się. Deklamował w malignie dumę o Żółkiewskim ze Śpiewów Niemcewicza, chwilami przemawiał w języku wykładowym, to znów odmieniał rozmaite słowa łacińskie. Wychodziłem co chwila z pokoju, bom nie mógł tego słuchać. Gdy był jeszcze zdrów, uczył się w sekrecie ministrantury, chcąc matce za przyjazdem na wieś sprawić niespodziankę — i teraz dreszcz mnie przejmował, gdym w ciszy wieczornej słyszał to dziecko jedenastoletnie, powtarzające przed śmiercią jednostajnym, gasnącym głosem: Deus meus, Deus meus, quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus!

Nie umiem powiedzieć, jakie tragiczne wrażenie robiły te słowa. Była to Wigilia Bożego Narodzenia. Z ulicy dochodził gwar ludzki i brzęczenie dzwonek przy sankach. Miasto przybierało powierzchowność świąteczną i radosną. Gdy się ściemniło zupełnie, przez okna na drugiej stronie ulicy widać było choinkę jarzącą się od świeczek,

pozawieszaną złotymi i srebrnymi, błyszczącymi orzechami, a naokoło niej główki dziecinne jasne i ciemne, z lokami rozwianymi w powietrzu, skaczące jak na sprężynach. Okna pały od światła, a całe wnętrze rozlegało się od krzyków radości i zdziwienia. Między głosami dochodzącymi z ulicy nie było innych jak wesołe i radość stawała się ogólną; tylko jeden nasz malec powtarzał, jakby z żalością wielką: „Deus meus, Deus meus, quare me repulisti?”. Pod bramą zatrzymali się chłopcy z szopką i wkrótce doszedł nas ich śpiew: „W żłobie leży, któż pobieży”. Noc Narodzenia zbliżała się, a myśmy drżeli, by to nie była noc śmierci.

Przez chwilę zdawało nam się jednak, że chłopiec oprzytomniał, bo zaczął wołać Loli i matki, ale to krótko trwało. Szybki jego oddech czasem ustawał zupełnie. Nie było się co łudzić. Ta mała dusza była już na wpół tylko między nami. Umysł jego już odleciał, a teraz on sam już odchodził w jakąś ciemną dalekość i nieskończoność i nie widział już nikogo, i nie czuł nic, nawet głowy matki, która leżała jak martwa na jego nogach. Zbojętniał i nie oglądał się już na nas. Każdy oddech jego piersi oddalał go i jakby zasuwiał w mrok. Choroba gasiła po kolei iskierkę po iskieńce życia. Ręce dziecka, leżące na kołdrze, rysowały się już na niej z tą ciężką bezwładnością rzeczy martwych; nos jego zaostrzał się, a twarz nabierała jakiejś chłodnej powagi. Oddech tylko coraz był szybszy, a w końcu stał się podobny do szeptu zegarka. Chwila jeszcze, jedno westchnienie i ostatnie ziarnko piasku miało się zsypać z klepsydry: miał być koniec.

Koło północy zdawało się nam stanowczo, że już kona, bo zaczął chrapać i jęczeć jak człowiek, któremu usta zalewa woda, a potem zamilkł nagle. Ale lusterko, które przyłożył mu doktor do ust, przesłaniało się jeszcze mgłą oddechu. W godzinę później gorączka zmniejszyła się nagle: myśleliśmy wszyscy, że już uratowany. Sam doktor miał niejaką nadzieję. Biednej pani Marii zrobiło się słabo.

W ciągu dwóch godzin coraz mu było lepiej. Nad ranem, że to już czwartą noc spędzałem przy malcu bezsennie i że kaszel dusił mnie coraz mocniej, wyszedłem do przedpokoju i położywszy się na sienniku, usnąłem. Obudził mnie głos pani Marii. Myślałem, że mnie woła, ale w ciszy nocnej usłyszałem wyraźnie: „Michasiu! Michasiu!”. Włosy mi na głowie powstały, gdy zrozumiał ten straszny akcent, z jakim wołała na dziecko; zanim jednak się zerwałem, wbiegła sama do przedpokoju, ogarniając ręką świecę, i dygocącymi wargami wyszeptała:

— Michaś... umarł!

Pobiegłem co tchu do łóżka chłopca. Tak jest. Osadzenie głowy w poduszce, otwarte usta, oczy wbite nieruchomie w jeden punkt i stężłość wszystkich rysów nie zostawiały najmniejszej wątpliwości: Michaś umarł.

Nakryłem go kołdrą, którą matka, zrywając się z łóżka, zsunęła z jego wychudłych zwłok, i zamknąłem mu oczy, a potem musiałem długo cucić panią Marię. Pierwszy dzień świąt zszedł mi na przygotowaniach do pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo ona nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle jej sił brakło. Zemdląła, gdy ludzie przyszedli brać miarę na trumnę, potem, gdy zaczęto ubierać ciało, na koniec, gdy ustawiono katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością służby pogrzebowej, przywykłej do takich widoków, i przechodziła prawie w obłęd. Sama układała heblowiny w trumnie pod atlasem, bredząc jak w gorączce, że dziecko będzie miało głowę za nisko. A Michaś leżał tymczasem na łóżku, ubrany już w nowy mundurek i białe rękawiczki, sztywny, obojętny i pogodny. Włożyliśmy w końcu ciało do trumny i ustawili na katafalku, a naokoło dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiało zadań, zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okiennica nie puszczala światła dziennego, a żółty migotliwy blask świec nadawał ścianom pozór jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też, od czasu jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Michasia twarzy tak rozpogodzonej. Delikatny jego profil, zwrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie, jakby chłopiec w tej wieczystej rekreacji śmierci upodobał sobie i czuł się szczęśliwym. Migotania świec nadawały twarzy jego i temu uśmiechowi pozory życia i snu. Powoli chłopcy, koledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta, poczęli się schodzić.

Oczy dzieci rozszerzały się ze zdziwieniem na widok świec, katafalku i trumny. Może te małe mundurki dziwiła powaga i rola kolegi. Oto niedawno był jeszcze między nimi, zginał się jak i oni pod ciężarem tornistra, przeładowanego niemieckimi książkami, dostawał złe stopnie, odbierał połajania i nagany publiczne, miał zły akcent; każdy z nich mógł go pociągnąć za włosy lub za ucho; a teraz leżał taki wyższy od nich, uroczysty, spokojny, otoczony światłem; wszyscy zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną trwogą — i nawet Owicki, choć prymus, niewiele wobec niego znaczył. Chłopcy, trącąc się łokciami, szeptali sobie, że teraz on już o nic nie dba, że gdyby nawet Herr Inspektor przyszedł, to on by się już nie zerwał, nie przestraszył, ale uśmiechałby się tak samo spokojnie; że on tam zupełnie, zupełnie może robić, co mu się podoba, hałasować, jak zechce, i mówić, choćby po polsku, do małych aniołków ze skrzydełkami pod szyją.

Tak szepcząc, zbliżali się do szeregu świateł i odmawiali wieczny odpoczynek Michasiowi...

Następnego dnia przykryto trumnę wiekiem, umocowano ją gwoździami i powieszono na cmentarz, gdzie grudki piasku, pomieszane ze śniegiem, wkrótce ją skryły przed mymi oczyma... na zawsze...

Dziś, gdy to piszę, upłynęło już od tego czasu blisko rok, ale pamiętam cię i żal mi ciebie, mój mały Michasiu, mój kwiatku, za wcześniej uwiędły! Miałeś zły akcent, ale serce poczciwe. Nie wiem, gdzie jesteś, czy mnie słyszysz, wiem tylko, że twój dawny nauczyciel kaszle coraz ciężiej, że mu coraz ciężiej, samotniej i wkrótce może odejdzie, jak ty odszedłeś...

Przeczytaj także:

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela - Streszczenie szczegółowe

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela - Streszczenie krótkie

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela - Plan wydarzeń

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela - Charakterystyka bohaterów

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela - Czas i miejsce akcji

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela - Geneza utworu i gatunek

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela - Problematyka

Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela - Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, Nowele wybrane, Państwowy Instytut Wydawniczy, [Warszawa 1968].